

218 GŁOS Z WIDOWNI

Teatr Ziemi Gdańskiej sięgnął tym razem po sztukę autorki Wybrzeża, Lucyny Legut, prezentując utwór „Zieleniarze — obywatele świata”.

Najpierw kilka zdań o samej autorce. Znała jest ona przede wszystkim jako aktorka Teatru „Wybrzeże” i stąd byłoby łatwo wyprowadzić jej zainteresowania dramaturgią, ale chyba taki wniosek byłby zbyt uproszczony. W jej teatralnej wizji spleta się bowiem kilka zainteresowań — plastyka („Portrety aktorskie”), proza literacka („Życie artystki Kingi Kidney”), słuchowiska radiowe i baśnie — reprezentujące symbiozę tekstu z ilustracjami autorki. Debiut twórczości scenicznej Lucyny Legut — pt. „Złodziej serc” — spotkał się w r. 1961 z bardzo różnym przyjęciem. Jedni chwalili baśniową atmosferę sztuki, inni (w tej liczbie i ja) „napadli” na sztukę. Lucyna Legut należała jednak do tych nielicznych autorek, które nie obrażają się na recenzentów i tym zdobyły sobie moją całkowitą sympatię.

No tak — sympatia swoją drogą,

ale pasja recenzencka swoją. Poszedłem więc na premierę „Zieleniarzy” z zaostrzonym piórem (to tylko metafora, bo posługuję się długopisem). Jaki efekt? Proszę posłuchać...

Lucyna Legut napisała sztukę po zornie realistyczną, ale w gruncie rzeczy ogromnie poetycką. Jest to historia złożona z małych scenek,

które w sumie kształtują bardzo ogólne pojęcie o konflikcie i bardzo subtelnie zarysowują postacie „bohaterów” małych dramatów. Jest tu coś z atmosfery baśni o dobrym clochardzie i biednej dziewczynie, o ich przyjaźni. I wcale nie dziwiłbym się, gdyby w tym zaułku, który stanowi tło uroczej historyjki, zaczęły gadać z sobą pomidory i ogórki.

Nie podobał mi się jednak rygorystyczny podział na akty, nie wynikający — moim zdaniem — bezpośrednio z kompozycji utworu. Nie podobała mi się też konwencja w jakiej zrealizowała tę baśń Maria

Chodecka. Zwracała ona bardziej uwagę na modelunek niektórych scen, na synchronizację wielu równoległe przebiegających wątków ubocznych, ale w tej pedanterii utraciła tę baśniowość, bez której „Zieleniarze” nabierają raz zbyt klikiwego a raz znów zbyt naturalistycznego charakteru, a poetycki dialog staje się chwilami pozbawiony lekkości i humoru. Ujawnia się to zwłaszcza w modelunku postaci Józefa — zieleniarza (Juliusz Przybylski). Jego szorstkość i lenistwo było przeciwieństwem tylko otoczką zupełnie innych cech, niejako „drugiego” zieleniarza, tkwiącego tylko w skórze prostaka. Spierałbym się też na te-

mat rysunku żony zieleniarza, zbyt ostro i naturalistycznie zagranej przez Teresę Lepkowską. Natomiast podobała mi się „Pani Kołek” Marii Gerhard — postać stworzona jakby wprost z podmiejskiej anegdoty, na stopnie — dowcipnie podpatrzona „Bufetowa” (Helena Sztark-Wizło) i — marzący o sklepie przy głównej ulicy „Rzeźnik” (Ireneusz Karamon). Zbyt melodramatycznie zagrała sierotę Różę — Anna Pasiutówna. Staro dozorę, który dobrze zna konfliktki mieszkańców zaułka prezentował Kazimierz Rowiński, a artystę malarza — Zbigniew Gawroński.

Uważam za cenne i godne konty-



Teresa Lepkowska i Kazimierz Rowiński w sztuce „Zieleniarze — obywatele świata”.

nuowania prezentowanie utworów zasugerował realizatorom tę próbę autorów miejscowych, gdyż jest to zaprezentowania autentycznego dramatu ulicy, podczas gdy miała to być tylko — jak ja odczytuje utwór Lucyny Legut — baśń zaułka o małych ludzkich sprawach i tęsknotach podpatrzona w łańcuchu fragmentów jakby przez wylegującego się na przeciwległym oknie mądrego kota Salomona, o którym pisał kiedyś Gałczyński.

S. SIERECKI

„Zieleniarze
— obywatele świata”